

JULIAN SIEMIONOW

MDW

SIEDEMNAŚCIE MGNIEŃ WIOSNY

PEŁNA WERSJA / BEZ CENZURY



JULIAN SIEMIONOW

SIEDEMNAŚCIE MGNIEŃ WIOSNY

PEŁNA WERSJA BEZ CENZURY

MDW

2

[Kup książkę](#)

Copyright © 2016 by Media Distribution Worldwide LTD.

Projekt okładki: Justyna Sokołowska
Redaktor prowadzący: Edyta Lubańska
Redakcja i korekta: Natalia Celer
Tłumaczenie: Natalia Celer
Copyright: © Olga Siemionow
Copyrights: © Media Distribution Worldwide LTD.

WYDAWCA:
Media Distribution Worldwide LTD.
2 Sheriffs Orchard
CV1 3PP Coventry
United Kingdom
www.mediadistributionworld.com

ISBN - 978-0-9954602-0-1

Spis treści:

Kto jest kto?
Stenogram narady u Führera
„Za kogo oni mnie tam uważają?” (zadanie)
Informacja do przemyslenia. Göring
Informacja do przemyslenia. Goebbels
Informacja do przemyslenia. Himmler
Informacja do przemyslenia. Himmler
Układ sił
Informacja do przemyslenia. Dulles
Informacja do przemyslenia. Schellenberg
Informacja do przemyslenia. Churchill
Informacja do przemyslenia. Bormann
Miara zaufania
Informacja do przemyslenia. Dulles
Czy w Bernie wszystko już przygotowane?
Swoj pośród swoich
Rytm kilku chwil
Alogiczność logiki
Dobre intencje

Kto jest kto?

Początkowo Stirlitz nie uwierzył: w ogrodzie śpiewał słowik. Powietrze było chłodne, błękitnawe, i chociaż barwy dookoła były lutowe, ostrożne, zbita warstwa śniegu nie miała tej wewnętrznej nieśmiałej niebieskości, która zawsze poprzedza nocną odwilż.

Słowik dźwięczał w leszczynie opadającej ku rzece obok dąbrowy. Czerniały potężne konary starych drzew; w parku pachniało świeżo mrożoną rybą. Nie czuło się jeszcze towarzyszącego wiośnie silnego zapachu zeszłorocznych zbutwiałych liści brzoź i dębów, a mimo to ptak śpiewał donośnie – kląskał, zanosił się bezbronnym, łamiącym się trelem w tym ciemnym cichym parku.

Stirlitz przypomniał sobie dziadka: starszy człowiek umiał rozmawiać z ptakami. Siadał pod drzewem, przywoływał sikorkę i długo patrzył na ptaszynę, a wówczas jego oczy upodabniały się do tych ptasich – bystrych czarnych koralików, no i ptaki wcale się go nie bały.

„Piń-piń-tarach!” – poświstywał dziadek.

I sikorki odpowiadały – ufnie i wesoło.

Słońce zaszło i czarne gałęzie drzew rzucały na biały śnieg równe fioletowe cienie.

„Zamarznie, biedny – pomyślał Stirlitz i, otuliwszy się płaszczem, skierował się ku domowi. – I nie można mu pomóc: tylko jeden ptak nie ufa ludziom, i to jest właśnie słowik”.

Popatrzył na zegarek.

„Klaus zaraz przyjdzie – pomyślał. – Zawsze jest punktualny. Sam go prosiłem, żeby ze stacji szedł lasem tak, aby nikogo nie spotkać. To nic. Poczekam. W parku jest tak pięknie”.

Tego agenta Stirlitz zazwyczaj przyjmował tutaj, w małej willi na brzegu jeziora – w swoim najwygodniejszym zakonspirowanym lokalu. Trzy miesiące namawiał obergruppenführera SS Oswalda Pohla, aby mu przyznał pieniądze na zakup willi należącej do dzieci tancerzy baletowych teatru operowego, którzy zginęli w czasie bombardowania. Spadkobiercy żądali sporo, toteż Pohl odpowiadający za politykę gospodarczą SS i SD odmawiał Stirlitzowi kategorycznie. „Pan zwariował – mówił – proszę wynająć coś skromniejszego. Skąd u pana to zamiłowanie do luksusu? Nie możemy szastać pieniędzmi na prawo i lewo! To nieuczciwe w stosunku do narodu, który dźwiga na swych barkach ciężar wojny”.

Stirlitz musiał więc przywieźć tu swojego przełożonego – szefa wywiadu politycznego służby bezpieczeństwa. Trzydziestoczteroletni brigadeführer SS Walter Schellenberg od razu zrozumiał, że o lepszym miejscu dla rozmów z poważnymi agentami nie może być mowy. Przez podstawione osoby sporządzono akt kupna i do willi wprowadził się główny inżynier państwowych zakładów chemicznych imienia Roberta Leya niejaki Bolsen, który otrzymał prawo do korzystania z rezydencji. On też zatrudnił dozorcę w zamian za wysokie wynagrodzenie i dobre wyżywienie. A Bolsenem był nikt inny jak standartenführer SS Max Otto von Stirlitz.

Kiedy skończył nakrywać do stołu, włączył radio. Londyn nadawał wesołą muzykę. Amerykański big-band pod kierownictwem Glena Millera grał utwór z filmu *Serenada w Dolinie Słońca*. Ten film spodobał się Himmlerowi i w Szwecji zakupiono jedną kopię. Od tej pory dość często wyświetlano go w podziemiach na Prinz-Albrecht-Strasse, szczególnie podczas nocnych bombardowań, kiedy nie można było przesłuchiwać aresztowanych.

Stirlitz zadzwonił na dozorcę, a gdy ten przyszedł, rzekł do niego:

– Dzisiaj może pan pojechać do miasta, do dzieci. Jutro proszę wrócić o szóstej rano, a jeśli do tej pory nie wyjadę, proszę mi zaparzyć mocnej kawy, najmocniejszej, jaką tylko pan potrafi...

12 lutego 1945 roku, 18.38

„– Jak pastor sądzi, czego w człowieku jest więcej: człowieka czy zwierzęcia?

– Myślę, że pół na pół.

– To niemożliwe.

– To pewne.

– Nie.

– Inaczej jedno z nich dawno by już zwyciężyło.

– Wyrzucacie nam, że apelujemy do czegoś przyziemnego, traktując czynnik duchowy jako ten wtórny. Czynnik duchowy rzeczywiście jest drugorzędny. A rośnie jak grzybek drożdżowy.

– I te drożdże to?

– Ambicja. Mówicie o niej »pożądanie«, ja natomiast nazywam zdrowym pragnieniem spać z kobietą i ją kochać. Jest to normalne dążenie do tego, by stać się najlepszym w tym, co się robi. Bez takich aspiracji ludzkości groziłoby uwstecznienie się. Kościół dołożył

wszelkich starań, by zahamować rozwój rodu ludzkiego. Pamięta pan, o jakim okresie w dziejach Kościoła mowa?

– Tak, oczywiście, znam ten okres. Doskonale znam, ale jestem też świadom czegoś innego. Nie postrzegam już różnicy między waszym stosunkiem do człowieka a tym, które głosi Führer w swoich wystąpieniach.

– Naprawdę?

– W rzeczy samej. Führer widzi w człowieku ambitną bestię. Zdrową, silną, dążącą do wywalczenia dla siebie jak największej życiowej przestrzeni.

– Pastor sobie nie wyobraża, jak bardzo nie ma racji, Führer widzi w każdym Niemcu nie zwykłą bestię, on widzi w nim bestię o blond włosach.

– A pan widzi w każdym człowieku bestię w ogólnym tego słowa znaczeniu.

– W każdym człowieku widzę to, od czego on pochodzi. A pochodzi od małpy. A małpa jest zwierzęciem.

– I tu się z panem nie zgadzam. Pan wierzy w to, że człowiek pochodzi od małpy; nie widział pan tej małpy, od której człowiek pochodzi, i ta małpa nic panu na ten temat nie szepnęła na ucho. Pan tego nie dotknął, nie może pan tego dotknąć. A wierzy pan w tę teorię dlatego, że taka wiara odpowiada pańskiej strukturze duchowej.

– A pastorowi Bóg powiedział na ucho, że to on stworzył człowieka?

– Naturalnie nikt mi niczego nie mówił, ja także nie jestem w stanie udowodnić istnienia Boga; tego nie można dowieść, w to można tylko wierzyć. Pan wierzy w małpę, ja wierzę w Boga. Pan wierzy w małpę dlatego, że taka wiara odpowiada pańskiej strukturze duchowej; ja wierzę w Boga dlatego, że jest to zgodne z moją strukturą duchową.

– Tutaj pastor pomieszał. Ja nie wierzę w małpę. Ja wierzę w człowieka.

– Który pochodzi od małpy. Pan wierzy w małpę w człowieku. A ja wierzę w Boga w człowieku.

– A Bóg znajduje się w każdym człowieku?

– Oczywiście.

– A gdzie można się go dopatrzeć w Führerze? Albo w Göringu? A gdzie ta boskość tkwi w Himmlerze?

– Zadaje pan trudne pytania. Mówimy przecież o naturze ludzkiej. W każdym z tych nikczemników rzecz jasna tkwią resztki upadłego anioła. Ale niestety całe ich jestestwo w tak dużym stopniu podporządkowało się prawom okrucieństwa, przymusu, kłamstwa, podłości i przemocy, że praktycznie nic ludzkiego już w nich nie zostało. Ja w zasadzie nie wierzę, że

gdy człowiek przychodzi na świat, koniecznie naznaczony jest klątwą tego, że pochodzi od małpy.

– A dlaczego małpie pochodzenie to »klątwa«?

– Mówię swoim językiem.

– Czy to oznacza, że należy ustanowić prawo boże nakazujące zniszczenie małp?

– Dlaczego aż tak...

– Pastor przez cały czas bardzo sprytnie wykręca się od odpowiedzi na pytania, które mnie męczą. Nie odpowiada pastor »tak« lub »nie«, a przecież każdy człowiek poszukujący wiary pragnie konkretów: tak lub nie. A u pana jest »ależ nie«, »jednak nie«, »raczej nie« i inne frazeologiczne odcienie słowa »tak«. I muszę przyznać, że właśnie to odpycha mnie nie tyle od pańskiej metody, ile od pańskiej działalności.

– Pan odnosi się z niechęcią do mojej działalności. Oczywiście... A jednak z obozu koncentracyjnego przyszedł pan właśnie do mnie. Ciekawe, jak to się ze sobą wiąże...

– To kolejny raz świadczy o tym, że w każdym człowieku tkwi, jak pastor mówi, pierwiastek boski i pierwiastek zwierzęcy. Gdybym miał tylko ten boski, to bym się do pana nie zwrócił. Nie uciekałbym, poniósłbym śmierć z rąk esesmańskich katów, nadstawiłbym drugi policzek, by obudzić w nich krztę człowieczeństwa. Jestem ciekaw, gdyby tak pastor trafił do nich, nadstawiłby pan drugi policzek czy postarałby się uniknąć spoliczkowania?

– Co to znaczy »nadstawić drugi policzek«? Pan znowu przenosi symboliczną przypowieść na realną maszynę nazistowskiego państwa. Co innego jest nadstawić policzek w przypowieści. Jak panu mówiłem, to przypowieść o ludzkim sumieniu. A co innego trafić do maszyny, która nie pyta człowieka, czy nadstawia on drugi policzek, czy nie, maszyny, która zgodnie z zasadami, z określoną ideą pozbawiona jest sumienia... Oczywiście, z maszyną czy z kamieniem na drodze, czy ze ścianą, na którą się pan natknie, nie będzie pan obcował tak, jak obcuje z innym stworzeniem.

– Pastorze, czuję się skrupowany, być może jestem niedyskretny, ale... Czy pan był kiedyś w gestapo?

– Cóż... Byłem tam.

– Rozumiem. Dla pastora to bolesne wspomnienie. Ale czy nie wydaje się pastrowi, że po wojnie owieczki nie potrafią panu wierzyć?

– Mało to ludzi było w gestapo?

– A jeśli ktoś szepnie parafianom, że ich pasterza wysyłano jako prowokatora do cel innych aresztowanych, tych, którzy nigdy stamtąd nie wrócili? A przecież tych, którzy

wrócili, jest garstka wobec milionów tych, którzy tam zostali... Nie do końca panu uwierzą. Komu wtedy będzie pastor głosił swoją prawdę?

– To zrozumiałe, że takimi sposobami można zniszczyć każdego, kogo tylko się zechce. W tym przypadku chyba nie będę mógł niczego naprawić.

– I co wtedy?

– Wtedy? Uważam, że moim zadaniem będzie demaskować kłamstwa. Demaskować tak długo, póki będą mnie słuchali. A gdy już przestaną słuchać, umrę duchowo.

– Duchowo. Ale to znaczy, że zostanie pastor żywym człowiekiem z krwi i kości?

– Pan Bóg zadecyduje. Może tak się stanie.

– Pańska religia zabrania samobójstwa?

– Właśnie dlatego go nie popełnię.

– A co pastor pocznie, gdy pozbawią go możliwości wygłaszania kazań?

– Będę wierzył bez wygłaszania kazań.

– A dlaczego nie widzi pastor dla siebie drugiego wyjścia, czyli pracować tak jak wszyscy?

– Co ma pan na myśli, mówiąc »pracować«?

– No chociażby dźwigać kamienie, aby budować z nich świątynie nauki.

– Jeśli człowiek, który skończył wydział teologii, potrzebny jest społeczeństwu tylko do dźwigania kamieni, to nie mamy o czym mówić. Rzeczywiście, wróć lepiej do obozu i niech mnie tam spalą w krematorium...

– Zadaję tylko proste pytanie: »A jeżeli?...«. Jestem bardzo ciekaw pańskiej opinii odnośnie do przyszłości, powiedzmy, skoncentrowania się na przyszłości.

– Sądzi pan, że osoba, która zwraca się do parafian z kazaniem, jest nierobem i szarlatanem? Nie uważa pan tego za pracę? Dla pana praca to dźwiganie kamieni, a ja uważam, że praca duchowa jest tak samo ważna jak każda inna, co więcej, jest nadzwyczaj ważna.

– Z zawodu jestem dziennikarzem, a moje artykuły spotykały się z bojkotem tak ze strony nazistów, jak i ze strony kościoła ortodoksyjnego.

– Były poddawane osądowi ze strony kościoła ortodoksyjnego z tej prostej przyczyny, że pan niewłaściwie traktował samego człowieka.

– Nie traktowałem człowieka. Opisywałem półświatek złodziei i prostytutek, którzy zamieszkiwali katakumby Bremy i Hamburga. Państwo hitlerowskie ogłosiło to nikczemnym oszczerstwem rzuconym na wyższą rasę, a kościół nazwał to oszczerstwem rzuconym na człowieka.

– My nie boimy się prawdy życia.

– Boicie się! Pokazywałem, jak ci ludzie próbowali szukać pomocy w Kościele, a Kościół ich odręczał; właśnie parafianie odręczali, a pastor nie mógł postępować przeciwko swoim wiernym.

– Oczywiście że nie mógł. Nie osądzam pana za prawdę. Osądzam pana nie za to, że ukazywał pan prawdę. Po prostu nie zgadzam się z panem co do wizerunku człowieka przyszłości.

– Nie sądzi pan, że odpowiada jak polityk, nie jak pastor?

– Pan widzi we mnie jedynie to, co jest utrwalone w pańskiej świadomości. Pan widzi we mnie polityczny kontur, który stanowi tylko jedną płaszczyznę. Tak samo można traktować suwak logarytmiczny, czyli jako narzędzie do wbijania gwoździ. Owszem, taki suwak jest na tyle długi i ma taką masę, że można nim wbić gwóźdź. Ale to jest dziesiąta czy nawet dwudziesta funkcja tego przedmiotu, którego pierwotnym zadaniem jest liczenie, a nie wbijanie gwoździ.

– Pastorze, ja zadaję pytanie, a pastor, zamiast mi odpowiedzieć, wbija we mnie gwoździe. I tak sprytnie prowadzi rozmowę, że z osoby pytającej zamieniam się w osobę odpowiadającą na pytania. Pan bardzo szybko zamienia mnie, poszukiwacza, w heretyka. Dlaczego pastor utrzymuje, że jest ponad walką, chociaż też trwa w tej walce?

– Rzeczywiście, ja ciągle walczę, ciągle jestem ciągle w stanie wojny, ale ja walczę z wojną właśnie.

– Rozumuje pastor bardzo materialistycznie.

– W końcu dyskutuję z materialistą.

– A więc potrafi pastor walczyć ze mną moją własną bronią?

– Jestem do tego zmuszony.

– Proszę posłuchać... Dla dobra pańskich wiernych proszę, żeby skontaktował się pastor z moimi przyjaciółmi. Dam pastorowi adres. Powierzam panu adres moich towarzyszy... Przecież nie zdradzi pan niewinnych...”

Stirlitz skończył przesłuchiwać nagranie. Szybko się podniósł i podszedł do okna, żeby nie nadziać się na spojrzenie tego, który wczoraj prosił pastora o pomoc, a dziś uśmiechał się, słuchając swego głosu, pił koniak i łapczywie zaciągał się papierosem.

– O papierosy u pastora było ciężko? – zapytał Stirlitz, nie odwracając się.

Stał przy oknie, dużym, na całą ścianę, i patrzył, jak wrony biją się na śniegu o chleb; dozorca dostawał podwójną porcję żywności i bardzo lubił ptaki. Nie wiedział, że Stirlitz

pracuje w SD, ale był całkowicie przekonany, że willa należy albo do homoseksualistów, albo do kupców prowadzących interesy na wielką skalę: ani razu nie przyjechała tu żadna kobieta, a gdy zbierali się mężczyźni, prowadzili długie i ciche rozmowy, jedli wyszukane potrawy, pili pierwszorzędne trunki, najczęściej amerykańskie.

– O tak, wymęczyłem się tam bez tytoniu. Staruszek to gaduła, a mnie aż skręcało bez fajek.

Agent nazywał się Klaus. Zwerbowano go dwa lata temu. Sam się do tego pchał: dawny korektor szukał mocnych wrażeń. Pracował jak artysta, rozbrajał swoich rozmówców szczerością i ostrością wypowiedzianych sądów. Mógł powiedzieć wszystko pod warunkiem, że wykona swoją pracę szybko i skutecznie. W miarę jak obserwował Klause, Stirlitz odczuwał narastający strach.

„A może on jest chory? – pomyślał któregoś razu. – Pragnienie zdrady to też swego rodzaju choroba. Co ciekawe, zdążył już prześcignąć samego Lombrosa – jest groźniejszy od wszystkich przestępców, których kiedykolwiek widziałem, a przy tym szalenie elegancki i miły”.

Wrócił do stolika, siadł naprzeciwko Klause i uśmiechnął się do niego.

– A więc? – zapytał. – Jest pan przekonany, że stary zorganizuje panu kontakt?

– Tak, to już załatwione. Najbardziej lubię pracować z inteligentami i duchownymi. Wie pan, czasem obserwuję ze zdumieniem, jak człowiek sam kroczy ku swojej zgubie. Miałem niekiedy nawet ochotę powiedzieć: „Stój, głupcze! Dokąd to?!”.

– Tego nie warto robić – powiedział Stirlitz. – To byłoby niemądre.

– Nie ma pan czasem konserw rybnych? Wariuję bez ryb. Fosfor, wie pan, zapotrzebowanie komórek mózgowych.

– Przyniosę panu doskonałe konserwy. Jakie pan chce?

– Lubię w oleju...

– Dobrze... Ale jakiej produkcji? Naszej czy...

– „Czy...” – Klaus roześmiał się. – Pewnie zabrzmi to mało patriotycznie, ale bardzo lubię jedzenie i napoje wyprodukowane w Ameryce albo we Francji...

– Przygotuję dla pana skrzynkę prawdziwych sardynek francuskich. W oliwie, bardzo pikantne... Mnóstwo fosforu... Wie pan, wczoraj przejrzałem pańskie akta.

– Dużo bym dał, żeby w nie zajrzeć.

– Nie są tak interesujące, jak by się mogło wydawać. Kiedy pan mówi, śmieje się, skarży na ból wątroby, to robi wrażenie, jeśli wziąć pod uwagę, że wcześniej przeszedł pan niebezpieczną operację... A w pańskich aktach wieje nudą: same raporty, donosy...

Commented [JC1]: PRZYPIS NA DOLE STRONY Cesare Lombroso (1835–1909) – włoski psychiatra, antropolog i kryminolog.

Wszystko się pomieszało: pańskie donosy, donosy na pana... Nieciekawie... Zainteresowało mnie jednak co innego: podliczyłem, że dzięki pańskiej inicjatywie zostało aresztowanych dziewięćdziesiąt siedem osób... Przy czym każda z nich milczała na pański temat. Każda bez wyjątku. A przecież w gestapo ostro się za nich wzięli...

– Dlaczego pan mi o tym mówi?

– Nie wiem. Próbuję chyba analizować... Czy bolało pana, że ludzi, którzy dawali panu schronienie, potem zabierano?

– A jak pan myśli?

– Nie wiem.

– Bo ja wiem? Chyba czułem się mocny, gdy zaczynałem z nimi walczyć. Mnie interesowało starcie. To, co się z nimi stanie – nie wiem... A co się stanie z nami? Ze wszystkimi ludźmi na świecie?

– Też prawda – zgodził się Stirlitz.

– Po nas choćby potop. A poza tym nasi ludzie to lęk, łotrostwo, skąpstwo, donosy. W każdym z nich, po prostu w każdym. Wśród niewolników nie można być w pełni wolnym. Można być co najwyżej najbardziej wolnym wśród nich. Ja w ciągu tych wszystkich lat korzystałem z całkowitej duchowej swobody.

– A kto był u pastora przedwczoraj wieczorem? – zapytał nagle Stirlitz.

– Nikt.

– Około dziewiątej.

– Pan się myli – odpowiedział Klaus. – W każdym razie od was nikogo nie było. Byłem sam.

– Może to był parafianin? Moi ludzie nie widzieli wyraźnie twarzy.

– Obserwowaliście jego dom?

– Oczywiście, przez cały czas... Jest pan przekonany, że stary będzie pracował dla pana?

– Będzie. W ogóle czuję w sobie powołanie opozycjonisty, trybuna, wodza. Ludzie podporządkowują się mojej energii, logice myślenia.

– Dobrze. Zuch z pana! Tylko niech się pan zanadto nie przechwala. Teraz pomówmy o samej sprawie... Kilka dni pomieszka pan w jednym z naszych mieszkań... A to dlatego, że później czeka pana poważna robota, w dodatku nie z mojej działki...

Stirlitz mówił prawdę: koledzy z gestapo poprosili go, by wypożyczył im Klausa na tydzień; w Kolonii złapano dwóch rosyjskich radiotelegrafistów. Ujęto ich w poddasz pracy,

przy nadajniku. Milczeli, więc trzeba im było podsunąć jakiegoś dobrego człowieka. Klaus był najlepszy, więc Stirlitz obiecał go odnaleźć.

– Niech pan wyjmie kartkę papieru z szarej teczki – powiedział Stirlitz. – Proszę pisać: „Standartenführerze! Jestem śmiertelnie zmęczony, u kresu sił. Uczciwie pracowałem, ale dalej już nie mogę. Muszę odpocząć...”.

– Po co to? – zapytał Klaus, podpisując list.

– Myślę, że nie zaszkodzi panu tygodniowy pobyt w Innsbrucku – odpowiedział Stirlitz, podając mu paczkę banknotów. – Tam działa kasyno, a z gór zjeżdżają młode narciarki. Bez tego listu nie będę w stanie podarować panu tygodnia szczęścia.

– Dziękuję – powiedział Klaus – mam dość pieniędzy...

– Nie zawadzi mieć więcej, co? A może nie mam racji?

– No cóż, nie zawadzi – zgodził się Klaus, chowając paczkę do tylnej kieszeni spodni.

– Mówią, że leczenie rzeżączki jest teraz bardzo kosztowne...

– No więc proszę wyteżyc pamięć: nikt pana nie widział u pastora?

– Nie muszę wyteżać pamięci. Nikt.

– Mam na myśli i naszych ludzi.

– Jeśli wasi ludzie prowadzili obserwację domu starego, mogli mnie zauważyć. Ale raczej nie... Ja nie widziałem nikogo...

Stirlitz przypomniał sobie, jak tydzień temu Klaus wkładał ubranie więźnia, zanim zorganizowano spektakl z przepędzeniem aresztowanych przez wioskę, w której mieszkał obecnie pastor Schlag. Przypomniał sobie twarz swojego agenta sprzed tygodnia: jego oczy promieniały dobrocią i męstwem, już wszedł w rolę, jaką miał odegrać. Wtedy Stirlitz mówił z nim inaczej, dlatego że w samochodzie siedział obok niego święty – przemawiały za tym jego uduchowiona twarz, pełen bólesci głos i konkretne odpowiedzi, jakich udzielał.

– Ten list wrzucimy po drodze do pańskiego nowego mieszkania – powiedział Stirlitz.

– I niech pan napisze jeszcze jeden, do pastora, żeby nie było podejrzeń. Niech pan spróbuje napisać go sam. Nie będę przeszkadzał, zaparzę kawę.

Kiedy wrócił, Klaus trzymał w ręku kartkę papieru.

– „Uczciwość wiąże się z działaniem – zaczął czytać z lekką kpina – podstawą wiary jest walka. Nauczanie uczciwości przy pełnej bezczynności to zdrada: zdrada i wiernych, i samego siebie. Człowiek może sobie darować nieuczciwość, potomność nigdy jej nie podaruje. Dlatego nie mogę wybaczyć sobie bezczynności. Bezczynność to gorzej niż zdrada. Odchodzę. Niech pastor usprawiedliwi siebie z bożą pomocą”. No jak? Dobrze?

– Ostro. A nie próbował pan pisać prozy? Albo wierszy?

– Nie. Gdybym potrafił pisać, czy zostałbym... – Klaus nagle urwał i spojrzał ukradkiem na Stirlitza.

– Dziwny z pana człowiek. Proszę mówić dalej. Rozmawiamy przecież otwarcie. Chciał pan powiedzieć, że gdyby umiał pan pisać, nie zacząłby pan pracować dla nas?

– Coś w tym sensie.

– Nie coś w tym sensie – poprawił go Stirlitz – ale właśnie to pan chciał powiedzieć. Prawda?

– Tak.

– Brawo. Dlaczego miałby pan kłamać przede mną? Proszę dopić koniak i ruszamy. Już się ściemniło, jankesi chyba niedługo przylecą.

– To mieszkanie jest daleko?

– W lesie, dziesięć kilometrów stąd. Tam jest cicho, wyśpi się pan spokojnie do jutra...

Już w samochodzie Stirlitz zapytał:

– Pastor nic nie wspomniał o byłym kanclerzu Brüningu?

– Przecież już panu mówiłem: od razu się zacinał. Bałem się na niego naciskać.

– Postąpił pan właściwie... O Szwajcarii też milczał?

– Ani mru-mru.

– Dobrze. Dobierzemy się do niego z innej strony. Ważne, że zgodził się pomagać komuniście. To ci dopiero pastor!

Stirlitz zabił Klause strzałem w skroń. Stali nad brzegiem jeziora. Znajdowali się w strefie zakazanej, ale posterunek straży – dobrze to wiedział – był oddalony o dwa kilometry. Ponadto zaczął się już nalot, a w czasie nalotu wystrzału z pistoletu nie słychać. Stirlitz tak to wyliczył, żeby Klaus spadł z betonowej platformy – przedtem łowili tu ryby – prosto do wody.

Trup wpadł do jeziora jak worek. Stirlitz rzucił w to samo miejsce pistolet (wersja samobójstwa spowodowana wyczerpaniem nerwowym była bardzo prawdopodobna, wskazywały na nią listy wysłane przez samego Klause), zdjął rękawiczki i poszedł przez las do swojego samochodu. Wioska, w której mieszkał pastor Schlag, była oddalona o czterdzieści kilometrów. Stirlitz obliczył, że dotrze do niej w ciągu godziny. Przewidział wszystko, nawet możliwość zdobycia alibi na ten czas.

12 lutego 1945 roku, 19.56

(Z partyjnej charakterystyki obergruppenführera SS Friedricha Krügera, członka NSDAP od 1930 roku: „Czysty Aryjczyk, oddany Führerowi. Typ nordycki, twardy. Wobec przyjaciół koleżeński i towarzyski; bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Wzorowy mąż i ojciec; nie miał kompromitujących kontaktów. W pracy okazał się mistrzem w swoim fachu...”)

Po tym, jak Rosjanie w styczniu 1945 roku zdobyli Kraków, i miasto, tak starannie zaminowane, nie ucierpiało w najmniejszym stopniu, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Ernst Kaltenbrunner wezwał do siebie Krügera, byłego dowódcę SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie.

Kaltenbrunner długo milczał, przyglądając się dużej mięsistej twarzy generała, a potem bardzo cicho zapytał:

– Czy ma pan jakieś wystarczająco obiektywne usprawiedliwienie, żeby Führer mógł panu uwierzyć?

Prostoduszny na pierwszy rzut oka mężczyzna o wyglądzie parobczaka, Krüger oczekiwał tego pytania. Już zawczasu przygotował odpowiedź. Ale przedtem musiał odegrać swoją rolę. W ciągu piętnastu lat członkostwa w partii i przynależności do SS zdążył się nauczyć aktorstwa. Wiedział, że od razu odpowiadać nie można, podobnie jak nie można całkowicie zaprzeczać swej winie. Nawet w domu łapał się na tym, że stał się zupełnie innym człowiekiem. Początkowo, choć rzadko, rozmawiał z żoną szeptem, po nocach, ale wraz z rozwojem specjalnej techniki – a jak nikt inny orientował się, w jakim stopniu była ona zaawansowana – przestał w ogóle mówić o tym, o czym czasami pozwalał sobie myśleć. Nawet kiedy spacerowali razem z żoną po lesie, milczał albo mówił o głupstwach: w centrali w każdej chwili mogli wynaleźć aparat nagrywający z odległości co najmniej kilometra.

Stopniowo dawny Krüger przestał istnieć; w jego miejsce, w miejsce znanego wszystkim i zewnątrz tego samego człowieka, pojawił się inny, stworzony przez poprzedniego, nikomu nieznanego generała, który bał się nie tyle mówić prawdę, ile pozwolić sobie myśleć prawdę.

– Nie – powiedział Krüger, nachmurzywszy się, i stłumił westchnienie z wielkim uczuciem i z wielkim trudem – nie mam wystarczającego usprawiedliwienia... I nie mogę mieć. Jestem żołnierzem, trwa wojna, toteż nie oczekuję pobłażliwości.

Szedł na całość. Wiedział, że im bardziej surowy będzie wobec siebie, tym mniej atutów zostawi w rękach obergruppenführera SS.

– Niech pan nie będzie babą – powiedział Kaltenbrunner, zapalając papierosa. – Trzeba przeanalizować fiasko, żeby to się nie powtórzyło.

Krüger zrozumiał, że wybrał właściwą linię postępowania.

– Obergruppenführerze – zaczął – rozumiem, że moja wina jest olbrzymia. Ale chciałbym, żeby pan wysłuchał standartenführera Stirlitza. Stirlitz był obeznany z naszą operacją w szczegółach i może potwierdzić, że wszystko zostało przygotowane jak najstaranniej i najrzetelniej.

– Jaki związek z operacją miał Stirlitz? – Kaltenbrunner wzruszył ramionami. – On jest z wywiadu, w Krakowie zajmował się innymi problemami.

– Wiem, że w Krakowie zajmował się zaginionym V-2, ale uważałem za swój obowiązek wtajemniczyć go we wszystkie szczegóły naszej operacji. Sądziłem, że po powrocie do Berlina zamelduje albo reichsführerowi, albo panu o tym, jak zorganizowaliśmy pracę. Oczekiwałem od pana jakichś dodatkowych poleceń, ale żadnego nie otrzymałem.

Kaltenbrunner przywołał sekretarza:

– Proszę, niech się pan dowie, czy Stirlitz z szóstego departamentu był umieszczony na liście osób włączonych do operacji Schwarzscheier, czy był przyjęty przez kierownictwo po przyjeździe z Krakowa, a jeśli tak, to przez kogo. Proszę także dopytać, jakie tematy poruszał w rozmowie.

Krüger zrozumiał, że zbyt wcześnie wystawił Stirlitza na cios. Opuścił głowę i zaczął mówić:

– Całą winę ponoszę ja osobiście – wyrzucał głucho z siebie ciężkie słowa. – Będzie mi bardzo przykro, jeśli pan ukarze Stirlitza. Niezmiennie go szanuję jako oddanego żołnierza. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie i mogę zmazać swoją winę tylko krwią na polu bitwy.

– A kto będzie walczył z wrogami tutaj?! Ja?! Sam?! Umrzeć za ojczyznę i za Führera na froncie? To zbyt proste! O wiele bardziej skomplikowane jest tkwić tutaj, w deszczu bomb, i wypalać rozżarzonym żelazem wszelkie paskudztwo! Tutaj jest potrzebne nie tylko męstwo, ale i rozum! Dużo rozumu, Krüger!

Krüger pojął: na front go nie wysła.

Sekretarz bezszelestnie otworzył drzwi i położył na biurku Kaltenbrunnera kilka cienkich teczek. Obergruppenführer przejrzał ich zawartość i popatrzył pytająco na sekretarza.

– Nie – powiedział ten. – Po przyjeździe z Krakowa Stirlitz od razu rozpoczął prace związane z poszukiwaniem strategicznego nadajnika, pracującego dla Moskwy...

Krüger postanowił kontynuować swoją grę, pomyślał bowiem, że Kaltenbrunner, jak wszyscy okrutni ludzie, jest skrajnie sentymentalny.

– Obergruppenführerze, mimo wszystko proszę pana o pozwolenie udania się na front.

– Niech pan siada – powiedział Kaltenbrunner. – Jest pan generałem, a nie babą. Dzisiaj może pan odpocząć, ale jutro opisz mi pan ze wszystkimi szczegółami całą operację. Wtedy pomyślimy, dokąd pana skierować. Ludzi mało, a pracy dużo, Krüger. Bardzo dużo.

Gdy Krüger wyszedł, Kaltenbrunner wezwał ponownie sekretarza i powiedział:

– Zbierzcie dla mnie wszystkie dane o Stirlitzu za ostatnie dwa lata, ale tak, aby nie dowiedział się o tym Schellenberg. Stirlitz jest cennym pracownikiem i odważnym człowiekiem i nie należy rzucać na niego cienia. Po prostu zwyczajna przyjacielska kontrola wzajemna... I proszę przygotować nominację dla Krügera: wyślemy go na zastępcę szefa gestapo w Pradze, tam jest teraz gorąco.

15 lutego 1945 roku, 20.30

(Z partyjnej charakterystyki obersturmbannführera SS Karla Holtoffa (IV departament RSHA), członka NSDAP od 1938 roku: „Czysty Aryjczyk. Typ zbliżony do nordyckiego, odporny. Z kolegami w pracy utrzymuje dobre stosunki. Ma bardzo dobre wyniki w pracy. Sportowiec. Bezlitosny w stosunku do wrogów Rzeszy. Kawaler. Związków kompromitujących go nie stwierdzono. Odznaczony nagrodami Führera, ma podziękowania reichsführera SS...”)

Stirlitz postanowił, że dzisiaj zwolni się wcześniej i pojedzie z Prinz-Albrecht-Strasse do Nauen. Tam, w lesie przy rozwidleniu dróg, znajdowała się maleńka restauracyjka Paula. Syn Paula, beznogi Kurt, zawsze jakimś cudem (i przed rokiem, i przed pięciu laty) zdobywał wieprzowinę i uguszczał swoich stałych klientów prawdziwą golonką z kapustą.

Gdy nie było bombardowań, mogło się wydawać, że wojny w ogóle nie ma. Radiola grała tak samo jak dawniej, a niski głos Brunona Warnke śpiewał: „O, jak pięknie było tam nad Müggelsee...”.

Stirlitzowi nie udało się jednak wyrwać wcześniej. Przyszedł do niego Holtoff z gestapo i powiedział:

– Wygląda na to, że się całkowicie zaplątałem. Albo mój aresztowany jest psychicznie chory, albo trzeba przekazać go wam, wywiadowi. Ten facet w kółko powtarza to, co mówią przez radio angielskie świni.

Stirlitz poszedł do gabinetu Holtoffa i przesiedział tam do dziewiątej wieczorem, słuchając histerycznych krzyków astronoma aresztowanego w Wannsee przez miejscowe gestapo.

– Czy wy nie macie oczu?! – krzyczał astronom. – Nie rozumiecie, że wszystko skończone? Że zginęliśmy? Czy nie pojmujecie, że każda nowa ofiara to zbrodnia? Cały czas twierdziliście, że występujecie w imieniu narodu. A więc odejdźcie! Pomóżcie resztkom tego narodu! Skazujecie na zgubę nieszczęsne dzieci! Jesteście fanatykami, nienasyconymi fanatykami, którzy dorwali się do władzy! Jesteście syci, palicie papierosy i pijecie kawę! Dajcie nam żyć jak ludziom! – Nagle zamilkł, wytarł pot z czoła i zakończył cicho: – Albo zabijcie mnie tutaj jak najprędzej ...

– Niech pan poczeka – powiedział Stirlitz. – Krzyk to żaden argument. Ma pan jakieś konkretne propozycje?

– Co? – z lękiem zapytał mężczyzna.

Spokojny głos Stirlitza, jego powolny sposób mówienia i lekki uśmiech oszołomiły astronoma, który przyzwyczał się w więzieniu do wrzasków i bicia. Okazuje się, że do takich rzeczy przywyka się szybko, a odzwyczajają się od nich powoli.

– Pytam, jakie są pana konkretne propozycje. W jaki sposób, pańskim zdaniem, mamy ocalić dzieci, kobiety, starców? Co należy zrobić w tym celu? Krytykować i złościć się – to proste. Natomiast znacznie trudniej przedstawić rozsądny plan działania.

– Odrzucam astrologię – odpowiedział astronom – ale chylę czoła przed astronomią. Pozbawiono mnie katedry w Bonn...

– Ach, to dlatego tak się złościysz, ty psie?! – krzyknął Holtoff.

– Proszę pana... – Stirlitz zmarszczył z irytacją brwi. – Naprawdę nie trzeba krzyczeć... Niech pan mówi dalej...

– Żyjemy w roku niespokojnego słońca. Erupcja protuberancji, wysłanie olbrzymiej dodatkowej masy energii słonecznej wpływają na ciała niebieskie, na planety i gwiazdy, wpływają na naszą małą ludzkość...

– Zakładam, że pan postawił już jakiś horoskop – powiedział Stirlitz.

– Horoskop to intuicyjna, być może nawet genialna bezpodstawność. Nie, ja wychodzę ze zwykłej, zupełnie niegenialnej hipotezy, jaką próbowałem postawić, o wzajemnym powiązaniu wszystkiego, co żyje na ziemi, z niebem i ze słońcem... Pomaga mi to dokładniej i trzeźwiej ocenić to, co dzieje się na mojej ojczystej ziemi...

– Z przyjemnością porozmawiam z panem dłużej na ten temat – oświadczył Stirlitz. – Przypuszczam, że mój przyjaciel pozwoli panu pójść teraz do celi, odpocząć parę dni, a później do tego wrócimy.

Kiedy mężczyznę wyprowadzono, Stirlitz rzekł:

– Ten człowiek jest w pewnym stopniu niepoczytalny, czyżbyś tego nie widział? Wszyscy uczeni, pisarze i artyści są w jakiś sposób niepoczytalni. Trzeba mieć do nich specjalne podejście, bo ci ludzie żyją swoim, wymyślonym przez nich samym życiem. Skieruj tego oryginała do naszego szpitala na badania. Mamy teraz zbyt wiele ważnej pracy, żeby tracić czas na nieodpowiedzialnych, chociaż być może utalentowanych gadułów.

– Ale on mówi jak prawdziwy Anglik z londyńskiego radia... Albo przeklęty socjaldemokrata, który się zwąchał z Moskwą.

– Ludzie wynaleźli radio po to, żeby go słuchać. I on się nasłuchiwał. Nie, to niepoważne. Będzie sensowniej, jeśli spotkamy się z nim za parę dni. O ile to rzeczywiście poważny naukowiec, zwrócimy się do Müllera albo Kaltenbrunniera z prośbą, aby dali mu dobry przydział i ewakuowali go w góry, gdzie znajduje się teraz kwiat naszej nauki. Niech pracuje; kiedy będzie miał dużo chleba z masłem i wygodny domek w sosnowym lesie, na który nie spadają bomby, przestanie gadać głupstwa. Nieprawdaż?

Holtoff uśmiechnął się i odpowiedział:

– Gdyby każdy miał swój domek w górach, dużo chleba z masłem i nie byłoby żadnych bombardowań, nikt by nie gadał...

Stirlitz popatrzył uważnie na Holtoffa, a ten, nie wytrzymawszy jego spojrzenia, zaczął nerwowo przekładać papiery na biurku z miejsca na miejsce. Minęła dłuższa chwila, nim Stirlitz uśmiechnął się do swojego młodszego kolegi szeroko i życzliwie.

15 lutego 1945 roku, 20.44